

PRZYCHODZI KLIENT DO TŁUMACZA

- Przyszedł raz klient do tłumacza języka włoskiego, w którym wystarczy zmienić samogłoskę, zamiast podwójnej spółgłoski użyć jednej, nie użyć akcentu graficznego, a słowa nabierają natychmiast innego znaczenia. A że rzecz wydarzyła się dawno, dawno temu, bo jeszcze w epoce przedkomputerowej, to tłumacz posługiwał się maszyną do pisania. Przetłumaczył właśnie „zaświadczenie lekarskie” polskiego lekarza stwierdzające, że pacjent po wypadku powinien przez trzy tygodnie leżeć na twardym łóżku, czyli po włosku „LETTO”. Natomiast jego figlarna maszyna napisała mu „TETTO”, czyli „DACH”, a więc wyszło na to, że pacjent ma leżeć „na twardym dachu” i to przez trzy tygodnie. Na szczęście tłumacz dostrzegł błąd, poprawił, wyobraził sobie tylko reakcję włoskiego lekarza po przeczytaniu takiego zalecenia i wybuchł gromkim śmiechem. Na szczęście błąd odkrył w porę – bo to był bardzo solidny tłumacz. *(Teresa Skrodzka)*
- Do tłumacza przysięgłego przyszedł Włoch. A było to wtedy, gdy w Polsce powstawało wiele spółek włoskich, wielu Włochów mieszkalo na stałe w Polsce z powodów zawodowych i lepiej lub gorzej znało język polski. Niektórzy z nich sami tłumaczyli sobie drobne dokumenty, trochę dla własnej satysfakcji, a trochę dlatego, że samo uwierzytelnienie było tańsze. Ten Włoch właśnie przyniósł przetłumaczone przez siebie zgłoszenie złożone przez niego na Komisariacie Policji, w którym wszystkie trzy pieczęcie „Warszawa-Włochy” przetłumaczył na „Warszawa-Wuoki” (Włoch wymawia „ch” jako „k” i w pisowni włoskiej nie występuje „y”). Najśmieszniejsze nastąpiło potem, gdy przez pół godziny Włoch udawał, że ma rację, bo „tak słyszy”. W końcu tłumacz powiedział mu stanowczo, że poświadczy ten dokument dopiero wtedy, gdy znajdzie taką miejscowość na mapie. I Włoch poszedł szukać *(Teresa Skrodzka)*
- Przychodzi artysta do tłumacza, a tłumacz - też artysta. Klient patrzy na tłumaczenie, nie może się nadszwić i mówi: toć to przecie prawdziwe dzieło sztuki! A na to tłumacz:
 - Artystą, proszę pana, można być w każdym zawodzie. Wszystko zależy od tego, jak się co robi. Tłumacz-twórca nie może być li tylko maszynką do perfekcyjnego przekładania na inny język zdań wyrażonych w pierwszym. Powinien być psychologiem, wyczuwać i wczuwać się w potrzeby odbiorców jego usług. A ja, proszę pana, zajmowałem się wiele lat pilotażem wycieczek orbisowskich, co świetnie nadawało się do ćwiczenia tych umiejętności. Ot, takie trzy przykłady na poparcie tej tezy:
 - Zwiedzamy średniowieczny zamek we Francji. Przewodnik, starszy, dystyngowany pan, opowiada ze swadą i uczuciem o pokazywanym przezeń zabytku. Posługuje się wykwintną, acz trącą dziś myszką francuszczyzną. Szkoda, by nie znający języka słuchacze utracili jej smaczki, by czmychnął gdzieś genius loci emanujący ze starych murów i starych słów. Cóż było robić? – Poleciałem staropolszczyzną...
 - Zwiedzamy Lizbonę. Pech zrządził, że miasto spowiła wyjątkowo gęsta mgła. Nawet ogromny pomnik żeglarzy-odkrywców jest niewidoczny. Lizboński przewodnik właściwie się wyłącza. Przypomina mi się transmisja Bohdana Tomaszewskiego z lekkoatletycznych mistrzostw Europy w Sztokholmie w 1958 r. Też taka sama sytuacja. Nic nie widać. A niezrównany mistrz mikrofonu prowadzi relację, jakby sam pędził po bieżni obok Krzyszkowiaka. Nieśpiesznym, modulowanym głosem zaczynam opowiadać o księciu Henryku Żeglarzu, Vasco da Gamie, Bartolomeo Diazie, Ferdynandzie Magellanie. Porównuję ich osiągnięcia do współczesnych lotów w kosmos. Podobny strach przed nieznanym, podobne niebezpieczeństwa i niepewność powrotu. W autokarze cisza jak makiem zasiał. Na zakończenie standing ovation, a turyści zgodnie stwierdzają, że widzieli Lizbonę...
 - Przyjeżdżamy do Hannoveru. W hotelu ma na nas czekać przewodnik po mieście, tymczasem – guzik! Jest sobota, obsługujące nas biuro podróży zamknięte na cztery spusty. Telefonów nie przyjmuje nawet pies z kulawą nogą. Z niezmaconym spokojem zwracam się do grupy: „Droży państwo, dziś sklepy są jeszcze otwarte. Jutro niedziela, a więc wszystkie będą pozamykane. Proponuję przełożyć nasze zwiedzanie na jutro przed wyjazdem w dalszą drogę”. Turyści są uszczęśliwieni. Znikają. A ja, proszę pana, do księgarni. Plan miasta. Przewodnik. Następnego dnia prowadzę zwiedzanie miasta, w którym jestem pierwszy raz w życiu. Jednocześnie prowadząc kierowców, żeby nie zaplątali się w gmatwaninie jednokierunkowych ulic..! Ta sama inwencja twórcza, proszę pana, do dzisiaj czyni ze mnie niezłego tłumacza. *(Ryszard Dulinicz, ze zbioru „Kwiatki z poletka Świętego Hieronima”.)*